POLSKA AGENCJA PRASOWA "ŚWIATPOL"
45, BELGRAVE SQUARE, LONDON S.W.1, ENGLAND
/tel. Sloane 22-14/

Polska w najwyższej potrzebie . . . .

B I U L E T Y N P R A S O W Y.

W y d a n i e n a d z w y c z a j n e.

Rok XI Londyn, 7 lipca 1943 r. Nr. 24

OD REDAKCJI.
Niniejszy numer Biuletynu poświęcony jest omówieniu losu dzieci polskich w Kraju i w świecie. Prosimy o niewykorzystywanie tego materiału aż do daty 26 września br., który to dzień naznaczony został jako Dzień Protestu przeciwko prześladowaniu dzieci polskich. Dokładne dane o organizacji protestu znajdą Czytelnicy w Komunikacie Informacyjnym Światpolu z tej samej daty: 1 lipca.

W E Z W A N I E Generałowej Sikorskiej.

Czy świat wie, że setki tysięcy sierot polskich tuła się bezdomnie, że dzieci polskie niedożywione, chore, prześladowane giną masowo w Kraju.

Protest najgłośniejszy w tej sprawie jest konieczny, nietylko by wstrzymał zaślepionych katów, lecz by odkrył światu ich niepojęte bestialstwo.

/-/ Helena Sikorska

D L A C Z E G O W O Ł A M Y ?

Na apel o protest przeciw mordowaniu dzieci i kobiet w Polsce odpowiedziała nam w ub. roku nietylko Polonia zagraniczna, ale i setki ludzi innego pochodzenia w północnej i południowej Ameryce. Podaliśmy przez radio do Kraju opisy manifestacji. Kraj odpowiedział. Odpowiedział listem, który Gen. Sikorski wręczył Pani Roosevelt w czasie swej bytności w Ameryce. Po paru miesiącach przyszło jednak z Kraju nowe wezwanie. Czytaliście "List Kobiet Polskich do Generała Sikorskiego"...

Przyszły później- w grudniu, styczniu, lutym-nowe raporty: o masakrach w lubelskiem, o wysiedlaniu wsi, o bitwach chłopów z Gestapo, o nowej klęsce, nowych obozach kaźni w Treblince i Majdanku, o obozach rozdzielczych w Białymstoku i Zamościu. Dorośli i młodzież od lat 13 zsyłani do ciężkich robót przy fortyfikacjach na Wschodzie i do Rzeszy. Słabi, chorzy i starcy zabijani. Dzieci wyrywane rodzicom, Dzieci od lat 6 wysyłane do Rzeszy na zniemczenie. Dzieci od lat 6 do 13 ładowane o głodzie i w mrozie do wagonów i rozsyłane do wsi i miasteczek Polski, a tam... dojeżdżające w stanie zupełnego wyczerpania. Szturm kobiet Warszawy do pociągów z przejeżdżającymi transportami. Strzały Gestapowców. Nowe trupy... Setki i tysiące dzieci chorych z głodu i brudu w czasie jazdy... Piekło. Trzydzieści pięć tysięcy Polaków z Warszawy aresztowanych w ciągu 4 dni.

Więc znów wołamy na cały świat. Znów krzyczymy: - Ratujcie !

My wiemy i oni, tam-w Kraju-wiedzą, że tylko ofensywa Sprzymierzonych tylko inwazja Europy przyniesie wyzwolenie. Tak! Ale tymczasem Kraj żąda protestu przeciw zbrodniom, żąda kary na zbrodniarzy, którzy tylko odwetu się boją. Kraj domaga się bombardowań odwetowych. Kraj bije się. I chce, by świat o tem wiedział. Rząd wydaje wyroki na najokrutniejszych zbójów

niemieckich i wykonywa je. Kiedyś, gdy znów Europa będzie wolna, -walka Polski o wolność stanie się złotą kartą historji świata, kartą ociekającą krwią najlepszych ludzi, krzyczącą o najwyższym poświęceniu, na jakie człowiek zdobyć się może...dla dobra braci. Dla dobra całej Ludzkości.

Tak. O tem pamiętać trzeba. O tem, że ten Kraj - Polska - ocaliła świat i honor Ludzkości! Polska, która nie zgodziła się na układy z Hitlerem i samotnie stanęła do boju. Gdybyśmy w sierpniu 1939 r. przyjęli - tak, jak Czesi - warunki Hitlera i uratowali siebie przed masakrą - to w r. 1940 skończona byłaby nie tylko Francja, ale i Anglja. Hitler musiał uderzyć na Zachód, by zabezpieczyć sobie panowanie w Europie, wzmocnić się, zanim uderzy na Sowiety. Hitler zawarł porozumienie z Rosją, by móc najpierw zwyciężyć Zachód i zagarnąć europejski przemysł i siły ludzkie dla zwyciężenia Rosji - potem. Wielcy politycy i wodzowie armji Sprzymierzonych wiedzą dobrze, że w r. 1939 nie tylko Polska nie była przygotowana do obrony. Nie był przygotowany nikt! Ani Francja, ani Anglja. Churchill w parlamencie angielskim w r. 1942 wyjawił, że w "battle of Britain" w r. 1940 brakowało jeszcze tylko jednej fali bombowców niemieckich, jeszcze jednego uderzenia i - obrona przeciwlotnicza Anglji przestałaby istnieć, Anglja stanęłaby otworem dla inwazji. My, którzy patrzymy na tę wspaniałą Brytanię, która uratowała świat, my wiemy, jak dalece brakło jej wtedy broni i wojska, by tę inwazję odeprzeć. Anglję uratował Churchill niezłomną wolą walki, Anglję uratował Kanał i przecenienie przez Niemcy jej ówczesnych sił. Ale...uratowała ją też Polska we wrześniu 1939 r.

Gdyby Polska poszła z Hitlerem, jak Węgry, Rumunia, Bułgaria, -gdyby poddała się, jak Czesi, którzy mieli w 1939 r. stokroć lepsze uzbrojenie i większy przemysł wojenny, niż my, -Hitler runąłby na Francję i Anglję już wtedy, jesienią 1939 r., najpóźniej wiosną 1940. A wtedy - byłby koniec Europy i...koniec Ameryki!

Tak, przypomnijcie sobie, z jakim trudem, jak mądrze wielki Prezydent Roosevelt doprowadzał opinię Stanów Zjednoczonych do zrozumienia, że to nie jest tylko wojna o Europę, że to wojna o cały świat! Że granice Stanów Zjednoczonych leżą u brzegów Anglji i Afryki, że Atlantyk przestał izolować Stany Zjedn. od niemieckich bombowców i łodzi podwodnych. Bez Ameryki Anglja nie dałaby rady Niemcom, zjednoczonym wtedy z Rosją - nie tylko z Japonią - mającym cały przemysł Europy. Tak. Ale ile czasu trzeba było, by Ameryka zrozumiała, że Anglja bije się nie tylko o własne terytoria, ale i o Stany Zjednoczone? Ile czasu trzeba było, by szerokie rzesze Amerykan zrozumiały światoburcze plany Hitlera! Ile czasu, by pojęły tę zależność, ten łańcuch przyczyn, które dziś ukazują świt zwycięstwa. Pierwszą przyczyną, pierwszym ogniwem jest - Polska! Wojna polsko-niemiecka 1939 r. i obrona Anglji 1940 r. uratowały świat.

My nie prosimy o żadną łaskę! My stajemy przed światem z podniesioną głową. W tej wojnie, która decyduje o losach Ziemi na 1000 lat, Polska stała się-według słów Roosevelta- "natchnieniem świata". To nie frazes. Ta wojna toczy się o prawo i sprawiedliwość, o wolność człowieka i narodu, o etykę i moralność w stosunkach pomiędzy narodami. W tej wojnie Polska jest "Chrystusem narodów, ukrzyżowanym między dwoma łotrami", jak powiedział kardynał Hinsley. Polska, która nawet po klęsce nie poddała się, nie dała Niemcom ani jednego quislinga, nie stworzyła wasalnego rządu, jak tyle innych krajów: Czechy, Słowacja, Norwegja, Danja, Chorwacja, Bułgaria, Rumunia, Francja. Polska masakrowana, rabowana, mordowana miljonami ludzi, Polska masowych cmentarzy i ruin - walczy!

Polska ma prawo domagać się pomocy.

Przyjdzie czas, gdy znowu będziemy się zjeżdżać na międzynarodowe kongresy. A wtedy znowu staną na nich kobiety polskie i spytają: -Czym odpowiedzieliście na nasze wezwania? Jaki był wasz udział w walce, wtedy, gdy my krwawiliśmy śmiertelnie? Gdy umierały w męce nasze dzieci! Na czem polega sprawiedliwość?

Przed każdym człowiekiem stanie kiedyś pytanie: - Czego dokonałeś na świecie? Żyłeś dla kogo? po co? - Każdy z nas spowiada się nie tylko z tego, co uczynił, ale i czego zaniedbał uczynić, chociaż mógł...

Narody świata płacą tą straszliwą wojną za izolację, za niedbałość o to, co się dzieje po za ich krajami. Niemcy swoim egoizmem i zerwaniem z Chrześcijaństwem stworzyły to dzieło szatana, zwane nacjonal-socjalizmem, ideę "narodu panów", stworzonych dla panowania nad innymi "niewolniczymi narodami". Są kraje i narody zbyt słabe, by z tą potęgą Zła walczyć, choć je znają. A inne - dalekie i silne - zamknęły się w swoich egoistycznych sprawach i długo zamykały oczy na to, co dzieje się na europejskim kontynencie: Co nas to obchodzi?

Zapomniały,że "kto z domu swego nie wyjdzie,by Zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić,-do tego Zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego"...

Dlatego polskie kobiety z Kraju wołające o pomoc nie proszą o łaskę niczyją,-one ostrzegają: -Każdy naród i każdy człowiek odpowiada za Zło na świecie,gdziekolwiek ono się dzieje!Jeśli z niem nie walczy,sam czując się bezpiecznym,-stanie się współwinnym i będzie za Zło odpowiadał w tym życiu albo po przekroczeniu Bramy Wieczności.

Żofja Zaleska
/Kurjer Narod.Org.Kobiet do rządu polskiego w grudniu 1939 r.-Łącznik organizacyj kobiecych w Polsce-Członek Rady Narodowej R.P., b.poseł na sejm,dziennikarż.Matka poległego w 1941 r.lotnika./

K R U C J A T A D Z I E C I E C A.

-A ty skąd jesteś?

-Ze Zgierza.-odpowiedział chudy chłopiec,ze szramą czerwoną,idącą poprzez całą twarz.-To takie miasto pod Łodzią...

-Wim.A ty?

-Ja z samej Warszawy!-odrzekł z akcentem jakiejś dumy Bolek Piotrowski-Ale po co ty tak pytasz wszystkich? A sam skąd jesteś?

-Ta skądby?Ta zy Lwowa! Jan Kulikowski.Ul.Teatralna.Mój ojciec jest woźnym w Izbi Skarbowyj.Aży pytam wszystkich? Pytam,bu chcy wiedzić.Ja stąd uciekny i potym,jak mni ludzi bendu pytali o to,jakie dzieci jichały tym transportym,muszy podać jak najwiencyj nazwisk i adresów.Rozumisz teraz? Starczy ci?Ja już przeci raz uciekałym z ubozu pud Garwolinym,tu wim,co trzeba robić.A ty skąd jestyś,Marysiu?

-Nie wiem.

Marysia Nowakówna nie wie naprawdę,skąd jest.Pomieszało się jej wszystko w głowie od dość dawna,a teraz już nawet nikogo spytać nie może.Matka została za drutami,tam,w obozie pod Komarowem.Zresztą matka już od jakiegoś roku zgórą zaniemówiła.Właściwie mogła mówić lecz nie chciała albo też mówiła jakieś słowa,jakieś zdania,których sensu Marysia pojąć nie potrafiła.Marysia ma niespełna sześć lat,gdy wojna się zaczęła,wtedy miała dopiero...Nie,tego Marysia nie może obliczyć.Wogóle to wszystko idzie zbyt prędko i Marysia ciągle jest gdzieindziej.Ledwie rozejrzy się,ledwie nauczy się nazwy nowego miasta czy nowej wsi,czy rzeki jakiejś albo ledwie zapamięta,jak zwą się nowi jacyś ludzie,jak mają na imię jakieś nowe dzieci,-a już trzeba zbierać się,pakować do worka odrobinę łachów,i jazda dalej.I tak od trzech lat.Albo może nawet i dłużej.

-Skąd ja jestem? Nie wiem.-powtarza Marysia.

Ojca pamięta,owszem.Gdy go ostatni raz widziała,był w mundurze.Nachylił się nad jej łóżkiem,pocałował ją w czoło,i zniknął.Niema go już. Marysia poza tym przypomina sobie,że razem z matką i ze Staszkiem,bratem swym starszym,jechała gdzieś w upale okropnym i że później,o wiele później,wróciła do tego samego miasta i do tego samego domu,w którym po raz ostatni widziała ojca.Ale w środku,w samym środku,pomiędzy wyjazdem z tego miasta a powrotem,było mnóstwo miast,wsi,dróg,ludzi przeróżnych, oprócz polskiego słychać się dawał język rosyjski,potem niemiecki,nadto zaś,gdy wróciła,był już mróz,a wyjeżdżała w upale strasznym,w sukience jakiejś wtody za gorącej,podczas powrotu zaś zbyt lekkiej.Zresztą sukienka to głupstwo,rzecz ważniejsza,że wróciła już tylko z matką,bo Staszek... Zdaje się,że to było pod Tarnowem... A może niedaleko Przemyśla?Marysia nie wie.W każdym razie Staszka niema i już go nigdy nie będzie. Bomba.Ta sama,która zabiła Krysię Zajączkowską i jeszcze jakichś dwoje dzieci,jadących bez ojca i bez matki.

Marysia nie wie,skąd jest.Przecież,gdy wróciła z matką do domu,ktoś obcy nie wpuścił ich do wnętrza i powiedział,że to już nie jest ich dom. Żeby się zabierały obie,i to jak najprędzej,bo nic nie wystoją.Poszły do babci,ale stróż tylko machnął ręką,mówiąc,że pani starsza umarła jeszcze we wrześniu.Wtedy matka Marysi znowu zaczęła mówić tak,jak pod Przemyślem czy pod Tarnowem,gdy Staszek... Powtórzyło się to samo przy jakimś liście o śmierci ojca Marysi w obozie jeńców,i potem zdarzało się coraz częściej,że Marysia nie mogła w żaden sposób zrozumieć,o czem mówi matka.

Ale wczoraj rano mama mówiła przytomnie.I mówiła bardzo głośno, właściwie krzyczała, że nie pozwoli,by jej zabierano Marysię.Że nie da jej od siebie oderwać.Zresztą tak samo albo jeszcze głośniej krzyczały

inne matki w tym obozie, lecz ze wszystkich krzyków ten jeden krzyk, krzyk matki, pozostał w uszach Marysi, nie chce z nich wyjść i teraz pęka głowa od niego. Ci ludzie, którzy rano przyszli, by zabrać wszystkie dzieci, odepchnęli matkę Marysi. Głową uderzyła i ścianę, ale krzyczeć nie przestała, i teraz choć już Marysia jedzie przez cały dzień i przez całą noc, słychać krzyk matki. Jest głośniejszy niż huk szyn i kół.

-Ta nakryj si tym!-mówi Jan Kulikowski ze Lwowa, z ul. Teatralnej, ściągając z siebie jakieś stare strzępy i łachmany.-Mni ni zimnu, nie bój si. Mni nic ni bendzi a ty kaszlisz! Ta lalki nie nakrywaj, bu jij ni zimnu!

Marysia jednak okrywa lalkę. Właściwie to nie jest lalka prawdziwa, taka n.p. jak ta, którą Marysia dostała strasznie dawno temu od babci. Tamta, piękna, prawdziwa lalka, przepadła w drodze, zaraz pierwszego dnia, gdy Marysia opuściła miasto, którego nazwy przypomnieć sobie nie może, a ta lalka, okryta obecnie bluzką Jasia Kulikowskiego, ta lalka, zrobiona jest z łachmanów, równie jak bluzka Jasia brudnych i podartych. Ale zawsze lalka! W obozie zrobiła ją dla Marysi. W tym obozie, w którym przecież było o wiele lepiej niż w wagonie, w którym Marysia jedzie gdzieś dzisiaj, sama, już bez matki. No, w obozie siedziały obie bardzo, bo jakieś dwa miesiące. A nie zdarzyło się nigdy, od pierwszego dnia wojny, żeby gdziekolwiek mogły zagrzać miejsca dłużej niż przez tydzień, przez dwa. Co chwila, co chwila, gdzieindziej.

A dokąd teraz jedzie Marysia? Nie wie. Ona wie tylko, że jest mróz, że mama została w obozie i że mamę musi boleć głowa. Od tego uderzenia o ścianę. Przez szpary w ścianach wagonu wdziera się śnieg i biały, bielutki tańczy w mrocznem wnętrzu, a dzieci mówią, opowiadają sobie o rozmaitych sprawach. O matkach, o ojcach, o innych dzieciach, które zabrano z obozu przed tygodniem. N.p. Jędruś Zapała z pod Nowego Targu, ten silny, mocny Jędruś, któremu rady na rękę mógł dać tylko Józek Maliniak, Józka Maliniaka także wzięli. Bo wtedy przed tygodniem, przyjechali do obozu jacyś doktorzy i zaczęli wybierać co najzdrowsze, co najsilniejsze dzieci. Podobno one wszystkie pojechały gdzieś do Niemiec.

-Patrzcie, Zosia nie rusza się! - krzyknął jakiś chłopiec.

Rzeczywiście, Zosia Skupieniówna, nie ruszała się. Była w tej chwili jeszcze mniejsza i jeszcze bardziej żółta, niż zwykle. Dzieci jedne odsunęły się od niej, zakryły sobie oczy, by nie patrzeć, inne, przeciwnie, obstąpiły ją dokoła, wpatrzone w tę twarz skrzywioną, w te oczy napół otwarte.

-Krzyś! Ta nie bój si! Ty głupi! Trupa si boisz? Ta trzeba ją położyć razem z innymi, tam w kąci! Ta pomóż mi, Krzyś!

I Jaś Kulikowski przenosi Zosię przy pomocy Józka i Bolka. Odciąga ją pod ścianę, a potem zaraz robi ankietę. Skąd była ta Skupieniówna. Z Poznania? Dobrze... jaka ulica? Nikt nie wie? Czy miała jakieś rodzeństwo, brata, siostrę, bo to trzeba zapamiętać, bo ludzie będą pytali, kto, jak nazwisko, imię, skąd, kiedy które umarło, w jaki sposób. Napewno będą pytali.

Rzeczywiście pytają. Pociąg stanął w Przeworsku i tam zebrał się tłum wielki, przeważnie kobiety. Obstąpiły pociąg, zaczęły wołać, przeklinać Niemców, domagać się, by otwarli drzwi wagonów, zrobił się krzyk, płacz, hałas. Niemcy odpędzali i bili, jednak te kobiety nie ustąpiły. Kolejarz jakiś otwarł kilka wagonów i przez drzwi zaczęły się sypać kromki chleba, bułki, jakieś jedzenie, zawinięte w papier, potem znowuż dziesiątki rąk podawały herbatę a równocześnie z tem padało pytanie jedno za drugiem. Dzieci jadły, bo też było to pierwsze jedzenie od wczoraj rana, ale Jaś Kulikowski nie jadł wcale. On tylko mówił, rzucając nazwiska i imiona w tłum kobiet, z których jedna zapisywała wszystko, on zaś mówił i mówił o wszystkiem, co zdołał zapamiętać, o każdem dziecku, które spotkał w obozie ostatnim i w innych obozach. W miarę, jak mówił, rosły krzyki wśród tłumu, wzmagał się płacz coraz głośniejszy i gęsto padały przekleństwa, zwłaszcza gdy co silniejsi chłopcy podawać zaczęli tym kobietom ciała dzieci. W pewnej chwili przybyło Niemców. Rozepchnęli tłum, torując sobie drogę ku wagonom, by zasunąć drzwi. Rozległ się gwizd lokomotywy, potem padły jakieś strzały, i pociąg ruszył.

-Ta ni zasuwaj całkim tych drzwi, Bolik!-rzekł Jaś Kulikowski, dziwnie w tej chwili zamyślony.-Niech si wagun jeszczy trochi przywietrzy! Zostaw bodaj ty szpary!

Przeworsk! A za godzinę już Jarosław! Potem Przemyśl. Pociąg nie staje na dworcach, bo tam, podobnie jak w Przeworsku, czekają tłumy. Zatrzymuje się dopiero w Mościskach, gdzie znowuż podają kromki chleba i pytania i strzały, poczem pociąg jedzie dalej. O, Gródek Jagielloński, a wieczorem już zbliżają się do Lwowa. Jaś Kulikowski jest coraz bardziej zamyś-

lony. Zdziwił się, widząc, że pociąg mija dworzec główny, że jedzie po rozmaitych torach, cofa się, znowu idzie naprzód, posuwany raz w tę, raz w drugą stronę.

-Aha, dworzec Podzamczy!-mówi szeptem Jaś Kulikowski, próbując, czy zdoła odsunąć ciężkie drzwi.-Marysiu, uważaj i bądź gutowa, jak ci powim. I trzymaj lalkę, żebyś ni zgubiła...

Pociąg zwalnia biegu, drzwi zaś są uchylone tak, że Jaś zdołał się przecisnąć. Już stoi na ziemi, a ciągnąc Marysię i przynaglając ją, woła w głąb wagonu, że teraz albo nigdy...

-Ta wy Lwowi jesteśmy! Prędzyj! Tu z głodu ni pumrzemy! Uciekać! Prędzyj!

Pociąg ruszył nagle, i z hukiem, ze świstem, zaczął oddalać się w mrok. Zostali tam wszyscy, tylko Jaś i Marysia wyskoczyli na czas, tylko ich dwoje.

-Ta okryj si lepij. I nie płacz! Wy Lwowi jisteśmy a wy Lwowi samy dobry ludzi! Mówi ci, żybyś ni płakała! Ni zgubimy si, bu ja tu znam każdy kamiń... Ni byłym we Lwowi ud trzech lat i cztyrych misiency ali trafi wszendzi z zamknientymi uczyma... Uważaj, trzymaj mni za renki! A lalki masz? O, teraz musimy puczekać, aż ci ludzi przejdu...

Przeszli ci ludzie, przeszli także inni i robi się coraz ciemniej. Ale Jaś naprawdę zna drogę, zna te poplątane tory kolejowe, zna wyjścia przeróżne. Już są oboje poza dworcem, już Jaś mówi, że ta ulica to Tatarska, a tamta św. Andrzeja. A ta wielka, długa ulica, to Zamarstynowska. Że to co widać jeszcze w ciemności, to jest Kopiec Unji Lubelskiej... tam kościół św. Jana, tam znowu rzeźnia miejska, i że zaraz zobaczą Plac Strzelecki, skąd już niedaleko do Teatralnej, do domu rodziców Jasia, gdzie będzie ciepło, gdzie dostaną herbaty, gdzie ją, Marysię, matka Jasia położy do łóżka...

-O, jeszczy dwa kroki! Nie bój si, ja trafi! Jeszczy... Co to? Co si stału? Spalona? Izba Skarbowa spalóna? Naprawdy spalona!... Hm, no to... Mówi ci, żebyś ni płakała Marysiu! Ja sy dam tu rady! Wy Lwowi jisteśmy, a tu samy dobry ludzi! Umrzyć nam ni dadzu! Ni zginiemy z głodu! I nikt nas tu już ni złapi! Marysiu, bydziemy wolni! Ruzumisz? Wolni!

Zygmunt Nowakowski.

R O D Z I N A.

Październik, rok 1939. Jesień przewaliła się przez ziemie polskie nawałnicą zdarzeń straszliwych, których ogromu nie pojmują jeszcze ludzie, rzuceni podmuchem jesiennego wichru na drogi i na pola-jak zeschnięte liście. Jesień uderzyła tysiącem piorunów w serce Polski i rozlała się w czerwone plamy na pobojowiskach Kutna, Mławy, Łukowa, pól pod-warszawskich i pod-lwowskich... Z październikowym deszczem spływają na polską ziemię, jak długa jest i szeroka, łzy kobiet, żegnających sobie wiadome jakieś sprawy, niepowrotnie minione. Drogami i ścieżkami Rzeczypospolitej wędrują karawany uchodźcze: kulejący siwek i wóz drabiniasty, na nim w zakurzonych betach zapłakane, głodne dzieci. Jedni ze wschodu wracają na zachód, inni, wysiedleńcy z zachodu, obracają oczy na wschód. Ze wszystkich stron, pieszo i na wozach, milczące pielgrzymki ciągną do Warszawy, jakby w nadziei wymodlenia, wypielgrzymowania cudu.

Październik, rok 1939. O bruk szosy Sochaczewskiej uderzają kopyta końskie, toczą się koła drabiniastych wozów ku niewiadomym przeznaczeniom. Z pod koców i płaszczy czerwone od łez oczy wyglądają na pola puste, z których wiatr wymiótł już zgiełk bitew, a deszcz ślady krwi. Odwracają się od drewnianych świeżych krzyży, od napisów: Hans Kurtmann. Johann Frieg. O stalowe hełmy niemieckie, zawieszone na krzyżach, uderzają krople jesiennego deszczu.

Kilkanaście wozów jedzie z Poznańskiego do Warszawy. Może dziś jeszcze, pod wieczór, kilkanaście rodzin wysiedleńców z Poznańskiego stanie wobec musu powzięcia jakichś decyzji życiowych, niemożliwych przecież do powzięcia. Skończy się już jechanie prostą drogą, skończy się konieczność skupiania uwagi na powożeniu końmi, na wymijaniu niemieckich transportów, na kaszlu najmłodszego dziecka. Dojadą do Warszawy, trzeba będzie pomyśleć o przyszłości. Jedni pójdą szukać jakichś **ciotek** czy kuzynek, u których spodziewają się znaleźć schronienie i przeczekać. Inni liczyć będą na dobre serca ludzi obcych. Jeszcze inni staną bezradni na pierwszym skrzyżowaniu ulic i ze zgrozą patrzeć będą na kikuty domów, sterczących na rogatce jak tragiczna warta, trwających w ciemnościach nocy jak pomniki nieznanych obrońców.

Tydzień temu przyszli do mieszkania żołnierze w nienawistnych zielonych mundurach. Kazali spakować i zabrać po jednej walizce, zostawić wszelkie ubogie kosztowności i pieniądze. Kazali zostawić za sobą, w

mieszkaniu, całe życie, którego nieciekawe, zwyczajne etapy znaczone były fotografiami na ścianie: biała panna młoda w welonie i młodzian z wąsikiem, sztywny, czarny, uroczysty; ta sama kobieta, nieco tylko pełniejsza, z dzieckiem na ręku siedzi w fotelu, obok krewni odziani niedzielnie: pierwsze chrzciny; troje dzieci bawi się piłką na plaży z ojcem, matka gdzieś spogląda z daleka: rodzina; Jurek poszedł do szkoły i nosi mundurek, zapięty pod szyją; Jadzia w białej sukience, z białym kwiatkiem w dłoni: pierwsza komunia; i wreszcie zdjęcie ostatnie, z sierpnia roku 1939, człowiek ze ślubnej fotografii w mundurze: mąż i ojciec poszedł do wojska.

Niemieccy żołnierze kazali w ciągu pół godziny zabierać się precz. Zostawić za sobą całe życie, którego nie można przecież spakować do walizki. Drżącymi rękoma matka pakowała ciepłe swetry i ubranka, jakieś książki szkolne, zeszyty, prześcieradła i tę ostatnią fotografię ze ściany, fotografię męża w mundurze. Potem stali na ulicy pod domem nie wiedząc dokąd pójść, a potem jechali wozem przed siebie. Dokąd? Za innymi, za sąsiadami. Do Warszawy.

Deszcz padał. Matka dotknęła ręką rozpalonego czoła najmłodszego dziecka: ma gorączkę. - W Warszawie, myślała, może dostanę jakąś pracę, do prania albo do służby pójdę. Jadzia będzie pomagać szyciem. Jakoś się przecież dziś przenocuje, a zaraz jutro rano do jakiego biura, może do Czerwonego Krzyża pójdę, zapytam o Janka. Gdzież jak nie w Warszawie mają wiedzieć co się z nim stało. Kiedy Janek wróci będzie lżej.

Kiedy Janek wróci... Na prawo od drogi wielki grób zbiorowy i krzyżyki z młodych brzózek. Więdną na rozmokłej ziemi czerwone i białe georginie.

Od strony Warszawy, za zakrętem, zawarczały motocykle. Jeszcze wargi nie skończyły cichej modlitwy za tych, co w grobie na prawo leżą, ręka zastygła w pół znaku krzyża. - Halt! Halt! Zeskoczyli z motocykli, otoczyli karawanę wozów: zaszwargotali po niemiecku: zatrzymać! wysiadać! Brutalne ręce szarpały pierzyny, wyciągały z wozów przerażone dzieci. Popychali, klęli. Tu, po prawej stronie drogi stanąć w gromadzie, nie ruszać się. Po jednym mężczyźnie przy koniach. Stać spokojnie, bo... pomachali rewolwery, wsiedli na motocykle, pojechali dalej. - Jakiś znów transport wojskowy, czy co - domyślał się ktoś. Wysiedleńcy stali, nie rozumiejąc, czekając. Tak się bowiem od początku nastroili: trzeba przeczekać. Dzieci tuliły się do matek. Deszcz padał.

Teraz poszedł po szosie jakiś odgłos miarowy, głuchy, który splatał się z płaczem deszczu i z ciszą wiejską w smutną szopenowską melodię. Zbliżał się ten podźwięk, potężniał w miarowy odgłos niby kroków - jakby się oto zbliżało nieszczęście jeszcze większe, najgorsze - rósł jakby, aż nagle wyrósł z za zakrętu sylwetkami żołnierzy w polskich, w naszych mundurach, czwórką, ósemką, tysiącem żołnierzy - Święty Boże - to jeńcy, to jeńcy z Warszawy.

Płaszcze na nich wytarte, podarte, twarze ich ciemne a spojrzenie stępiałe w rozpaczy i zmęczeniu tak wielkim, że chyba ostatecznym. Oto jeden ma rękę na temblaku, oto idzie oficer bez buta, z krwawym jakimś łachmanem wokół stopy. Oto zabandażowana głowa pod czapką z orzełkiem.

Szli zwartą kolumną, czwórkami, wolnym ale równym krokiem, jak ludzie, którzy wiedzą, że nie ma dla nich nadziei ani ucieczki. Z każdym krokiem oddalali się od wszystkiego tego, co było ich życiem: od jakichś twarzy, od mieszkań i od świstem bomby wpół zdania na wieczne niedokończenie przerwanych słów jakiegoś pożegnania. Ogarniał ich ten senny rytm kroków, deszczu, jesiennego wichru i niósł przed siebie prostą drogą poprzez umarłe pola.

Matka z trojgiem dzieci rozepchnęła sąsiadów, stanęła na czele czekających z boku drogi wysiedleńców. Przyjmuje tę żałosną defiladę obrońców Warszawy, czepiając się wzrokiem każdej twarzy, szukając znajomych rysów - bojąc się jakby, że wśród tysiąca nieznanych znaleźć się może twarz jedna, twarz ze ślubnej fotografii, z którą na śmierć i życie związana jest wszelka nadzieja.

A oni szli. Ci pierwsi, którzy mijali gromadę wysiedleńców, rzucili im nieśmiały uśmiech, jakby błagający o przebaczenie, że oto ulegli przemocy, że oto odchodzą, zdawszy tę gromadę kobiet i dzieci na niełaskę wroga. Inni opuścili głowy i w posępnym milczeniu oddawali się niewiadomym jakimś myślom. Było też wielu chłopców kilkunastoletnich, na których twarzach nie ostygł jeszcze zapał walki. Przedwcześnie postarzałe, zapadnięte głęboko oczy nie umiały płakać i tylko rytm ich kroków powtarzał za deszczem żałosną piosenkę, że im się dzieje wielka, niezasłużona krzywda.

Tuląc do siebie troje dzieci, matka liczyła twarze jeńców. Nie ten-

i nie tamten, choć podobny. A oni szli, mijali tę grupkę swoich, aby na długie lata utonąć w morzu obcości i nienawiści.

I nagle z grupy wysiedleńców wydarł się krzyk przerażający, pełen rozpaczy i żalu: Janek! Tato! Tato! Jeniec z obandażowaną dłonią porwał się jak ugodzony w serce, spojrzał-poznał-chciał zawrócić, biec, krzyczeć-ale szedł dalej, ogarnięty miarowym rytmem kroków, wsparty na ramieniu jeńca-sąsiada. I tylko spojrzeniem, spojrzeniem pożegnał rodzinę, napotkaną na rozstajnych drogach Polski w październiku 1939 roku.

W dali - bardzo już daleko - cichł, milkł, ginął odgłos kroków żołnierzy w polskich mundurach. Wozy wysiedleńców dawno już odjechały w stronę Warszawy. Tylko na skraju szosy Sochaczewskiej stała matka z trojgiem dzieci, czekając.

M.J. Ponikowska.

M A R E K.

Nic nie pomógł nieprzytomny krzyk i szarpanina w tłumie. Pociąg pojechał - a w nim matka Marka, Basia i wuj Leon. Marek został i została służąca Bronka. Bronka stała w bluzce rozdartej i wyszarpniętej ze spódnicy z kosmykami jasnych włosów rozrzuconymi po twarzy i w tępem osłupieniu patrzyła na pociąg odjeżdżający w stronę granicy litewskiej. W pierwszej chwili Bronka zupełnie zgłupiała i straciła głowę, ale potem gdy ją razem z Markiem wywieziono do Turkiestanu okazała się ogromnie zaradna. Silna była dziewucha i pracowała przy gnoju, a Marek miał już wtedy lat 9 i zabijał barany w rzeźni sowchozu.

Jednak Bronka nie wytrzymała. Umarła nagle na wysokiej przełęczy górskiej już po irańskiej stronie koło Meszedu.

Osowiały Marek wcale nie chciał się uczyć w szkole w Meszedzie. Miał już lat 11 ale do głowy mu nie przyszło, że bardzo dzielne były panie, które odrazu szkołę założyły.

Gdy transport już miał iść na południe, Kapitan Łukasz obejrzał Marka, szczypnął go w zapadły policzek, powiedział że mu śmiesznie wystają żebra i zapytał:

-Czy chcesz iść do Junaków?

Marek nie bardzo wiedział o co chodzi, ale uczyć zdecydowanie się nie chciał. Siedzenie na glinianej podłodze z książką - pisanie na kolanach, było zupełnie nieprzyjemne i Marek zawsze miał ochotę położyć się na ziemi i spać. Powiedział więc: tak.

Droga była długa. Szli ludzie na południe piechotą z tobołami, potem wsiadali do pociągu - jechali - stawali - czekali długo... na północ szły kolumny samochodowe i pociągi pełne armat i tanków. Masy angielskiego żelaza płynęły do Rosji i nie było wolnej drogi.

W drodze, pod Teheranem, Marek był niedługo. Mieszkał z 200 innymi chłopcami w dużym kwadratowym budynku w obozie na zboczu góry i gdy tylko nie kazali mu się uczyć, spał. W jednym tylko dniu obudził się z apatji. Do obozu przyjechał Kapitan Łukasz, który opiekował się kandydatami do obozu Junaków w Nazarecie. Poznał Marka, szczypnął go znowu w policzek i zapytał, kiedy nareszcie utyje. Wtedy Marek się rozpłakał. "Nie bądź babą" powiedział Kapitan Łukasz, -"chcesz to cię wezmę do miasta". I Marek pojechał samochodem, szarą, wybitą szosą, wśród gorących żwirów, do Teheranu. "Polacy to dzielne chłopy" - mówił Kapitan Łukasz obracając kierownicą-"Ty tylko jesteś taka baba. Dopiero co przyjechali a już pozakładali sklepy, restauracje i kawiarnie do spółki z Persami. Właśnie jedziemy do hotelu Polonia".

"Polonia" był to wspaniały warszawski dancing przy ulicy Lalezar w Teheranie. Polska orkiestra grała do tańca a w przerwach ktoś grał wspaniale Szopena. W czasie obiadu, Marek nagle wrzasnął i zerwał się od stolika. Z tacą, w białym fartuszku na czarnej kelnerskiej sukience przechodziła obok siostra jego matki, którą ostatnio widział w Wilnie. Ciotka omało nie upuściła tacy, wycałowali się i teraz na odmianę ciotka się rozpłakała. Marek opowiedział o tym jak zgubił się w Polsce, jak Bronka umarła i jak nic nie wie o matce i siostrze i co stało się z ojcem.

Musiał znowu wrócić do obozu za miastem ale już było mu trochę lżej. Ciotka pisała do niego listy i przysyłała mu paczki z jedzeniem. Naprawdę jednak Marek zbudził się z apatji dopiero w obozie junackim w Palestynie. Jak tylko włożył mundur który musiał sam pozaszywać - krótkie szorty były z dorosłego żołnierza - zaraz poczuł się dumny. Biały kask tropikalny niesłychanej mu dodał - w własnym mniemaniu - powagi, a w głębi serca wzbudził nieopisany zamęt uczuć. Poczuł się nagle exploratorem, który na słoniu może zapuścić się w głębokie puszcze, strzelać do lwów i lampartów,

przemierzać na wielbłądzie dzikie pustynie i zdobyć własnoręcznie pół świata.

A gdy wieczór pośród ustawionych w czworobok białych namiotów, stojąc w szeregu skupionych junaków patrzył na podnoszoną na maszcie flagę biało-czerwoną, w sercu uczuł wzniosłość i radość. Przy śpiewach dookoła obozowego ogniska topniały w sercu Marka przerażenia i dręcząco wspomnie zmory przeżytych dni głodowych, makabrycznych podróży, syberyjskiego zimna i ciągle oglądanej śmierci.

Wreszcie gdy Marek był już znowu zdrów i silny, gdy już chciało mu się uczyć i gimnastykować, gdy w szkole mechaników samochodowych z zapałem zabrał się do czyszczenia części silnika - dostał list. List był z Kanady. Pisały go matka Marka i Basia. Z Litwy doterły one do Kanady przez Japonię.

A. Zajączkowska.

- IN DER SCHULE. / Opowiadanie /.

Była to ostatnia lekcja i już Kazek skończył tę długą czytankę o uspionym Barbarossie i krukach kiedy nauczyciel Herr Müllner wstał nagle, chrząknął i popatrzał po klasie, wyciągając z naderwanej kieszeni długą, łamliwą kredę. Wszyscy wiedzieli, że będzie pytanie z gramatyki.

Ci z pierwszej ławki potulili głowy, utkwili oczy w kałamarzu, jakby tam szukali wybawienia. Dryblasy z końca klasy na próżno probowali kurczyć się, zsuwać długie nożyska daleko pod ławkę, Herr Müllner widział ich doskonale, widział i przebierał wzrokiem najgorszych. Klasa czekała bez tchu. Albo Wiktor Zagajek, albo Józek Okropa. Który ?

Herr Müllner miał już na pewno upatrzoną ofiarę, tylko bawił się umyślnie trwogą dzieci, czekał, aż odrętwieją w strachu i niepewności : Wiktor czy Józek ? Wtedy rzuci się na nieszczęśnika i ogłuszy go potwornym pytaniem : der czy das, albo warf czy wurf ...

Oczywiście odpowiedź będzie zła. Oczywiście powinno być "die", a nie das lub der. Herr Müllner pogładzi spiczastą brodę i roześmieje się w głos. Potem zapyta kolejno innych dryblasów z ostatnich ławek, aż dojdzie do syna Volksdeutscha Hansa, który łapę trzyma cały czas w powietrzu, na znak, że wie. Herr Müllner go pochwali. A jakże. Powie po raz niewiadomo który, że dzięki troskliwości jego ojca, Hans nie został spolonizowany.

Wszyscy jesteście Niemcy - wrzaśnie, łamiąc kredę w kościstych palcach. Na Pomorzu nigdy nie było Polaków! Wasza krew jest niemiecka! Hans, wytłomacz, dlaczego " die" a nie "der" !

Och, jakie to okropne ! Klasa rozpamiętuje minione katastrofy. Powtarzają mało mózgi bez przerwy : Józek albo Wiktor, Wiktor albo Józek ... No, który ? A Herr Müllner wciąż patrzy i patrzy. Boże, niech raz wreszcie wywoła czyjeś nazwisko. Niech ...

Mały Bolek, syn organisty, którego Niemcy zabrali zaraz po zamknięciu kościoła, jest najbardziej nerwowy. Drży, przekłada zeszyty, wierci się w ławce i wreszcie pyta niemal z płaczem : - Proszę Pana, czy mogę wyjść ?

Herr Müllner stracił ofiarę z oczu, dryblasy odetchnęły i skurczyły się jeszcze bardziej, oczekując nowego ataku. Herr Müllner odwraca się na chwilę w stronę Bolka i mówi : - Powiedz to po niemiecku ! Dzieciak w ryk, bo zapomniał naraz całą swoją lingwistyczną wiedzę. Müllner łapie go za kark i wyrzuca za drzwi. - Jak wrócisz, to cię i tak będę pytał.

Bolek dyrda w stronę niskiego, czerwonego muru i płacze coraz głośniej. Wie, co go czeka gdy wróci ...

Müllner wybrał tym razem kogo innego. Zapomniał o Wiktorze i Józku.

Olejarek, odmieniaj " der Vater".

Olejarek wstał, uczepił się oczami kilku więdnących kwiatów w oknie i powtórzył chwiejnie : der Vater. - Weiter ! krzyknął Müllner i ścisnął kredę, aż biały proch posypał mu się na spodnie.

... Des Vater ... jęknął dzieciak.

- Co ? - Niemiec rzucił resztkami kredy o stół.

- Co ? A gdzie jest "s" ? -

- Des .. des Vaters - powtórzyła ofiara, zapominając jednocześnie w kamień trzeci przypadek. Nastąpiła ponura cisza w klasie. Kwiaty w oknie zdawały się usychać do reszty. Kreda skwierczała między kościstymi palcami profesora. Wiktor i Józek powtarzali bezgłośnie : dem, dem, dem, żeby Boże broń nie zapomnieć kiedy na nich przyjdzie kolej.

Ale Herr Müllner uwziął się na Olejarka. Podszedł bliżej niego, zaczął znów gładzić świecącą od wygolenia brodę, co było niechybną oznaką złości i czekał, czekał. Chłopak stracił głowę zupełnie. Zapadł się nagle w dół we wspomnienia, pomiędzy nieszczęsnym drugim a trzecim przypadkiem niemieckiego rzeczownika, stanęła przed nim postać ojca w lotniczym mundurze; tatuś uśmiechał się tym samym uśmiechem z pierwszego września. Mówił wtedy, że będzie dobrze, że napewno wróci. Dzieciak spadł jeszcze niżej wgłąb kojarzących się myśli i usłyszał słowa matki pomieszane z płaczem : - Już go nie zobaczymy, nie ... Między jeńcami go nie ma ... Zginął, zginął. Koledzy jego mówili, że zginął ...

Olejarek chciał się bronić przed tłumem obrazów i szeptów, chciał podnieść się z nagłego zamroczenia i wrócić do skamieniałej, przerażonej klasy. Herr Müllner czeka przecież na niego.

W tej chwili Herr Müllner wrzasnął mu nad samym uchem : Weiter! -

Chłopak drgnął i zawołał : - Tatuś ... dem Tatuś - poprawił się, widząc złośliwy uśmiech Niemca. Wtedy Hans zaczął rzechotać z ostatniej ławki i trząchać łapą nad głowami dzieci. Hans wie, że to błąd. Nauczyciel nie mógł wprost uwierzyć, żeby ktoś mógł taki potworny nonsens powiedzieć. Uderzył dzieciaka na odlew i, kiedy ten upadł na zeszyty i piórnik, rozkraczył się nad nim i obrzucał go słowami, bez litości.

Twój ojciec jest zdrajcą ! Twój ojciec uciekł do Anglii ! Twój ojciec bombarduje miasta niemieckie. Twój ojciec będzie wisiał za to... My tu ... my ... das Reich - krzyknął - opiekujemy się tobą, kształcimy cię, przywracamy cię ojczyźnie, a ty Olejarek, ty polska ... zakrztusił się, trzęsąc rękami nad nim.

Chłopak usłyszał wiadomość o ojcu; wstał, wyprostował się i triumfującym spojrzeniem obrzucił klasę. Hans opuścił łapę i wybauszył oczy, pytając wzrokiem Müllnera co będzie z tym "Vater". Wiktor i Józek już nie bali się "dem", ani "den", ani innych szwabskich przypadków. Odpowiadali Olejarkowi radością roziskrzonych oczu.

I kiedy nerwowy Bolek wrócił do klasy i stanął trwożnie koło tablicy, czekając na te okropne pytania z gramatyki, Olejarek, chcąc wyładować swą dumę, krzyknął na cały głos po polsku :

- Bolek, mój Tatuś żyje, mój Tatuś bombarduje szwabskie miasta!

W szkole pomorskich janczarów nie było już lodowatej ciszy. Szum głosów wypełnił salę, zalał wściekłe słowa profesora, wypadł na dwór, między drzewa i kwiaty.

Herr Müllner wybiegł z klasy. Hans za nim. W poszukiwaniu policji.

Jerzy Pietrkiewicz

Ł Z Y.

Czasem się w oczach łzy zbierają smutne,
których powstrzymać nic chyba nie zdoła,
i żalem dziwnym serce wtedy woła,
i muszą płynąć, i płyną łzy smutne.

Wtedy są usta tak boleśnie drżące,
a w głowie ciężkich, dziwnych myśli roje.
Z oczu przymkniętych łzy płyną, łzy moje,
a takie dziwnie gorzkie i palące.

I wstyd mi wtedy, wstyd tych łez ogromnie,
a jednak płaczę, choć sam nie wiem, czemu,
i sam się dziwię smutkowi dziwnemu,

który łzy ciężkie przywołuje do mnie.
A jednak płyną z pod przymkniętych powiek
łzy, takie smutne, jak smutny jest człowiek.

/Autorką **utworu** jest kilkunastoletnia dziewczynka /mimo użycia męskiego zwrotu/ przebywająca w Kraju. Kilka jej utworów otrzymał jeden z naszych rodaków za pośrednictwem kraju neutralnego./